Nr 39. We Lwowie dnia 26. września 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

KORNEL UJEJSKI.



Słoneczną a raczej piorunową epokę naszej literatury, epokę romantyzmu przeżyło o lat wiele jedno z najświetniejszych jej imion. Kornel Ujejski bowiem, o którego śmierci wieść przed tygodniem wstrząsnęła całym narodem polskim, zanim złożył głowę na sen nieprzespany, zostawił nietylko pogasłe światła swoich rówieśników za sobą, ale oglądał narodziny nowej epoki poetycznej, widział nawet jak ze śmiercią najwybitniejszego jej przedstawiciela, Adama Asnyka, i ona poczęła się usuwać z widowni, aby uczynić miejsce epoce jeszcze nowszej, pieśniom innym, młodszym.

A miał osierocony, 74-letni poeta, tę wielką pociechę, że na owem zmiennem barwnem tle działalność jego odbijała zawsze jednakowo jasno, niezapomniana, zamknięta w sobie, skończona. Co miał powiedzieć, to powiedział i zamilkł — to też jeśli u nieporosłej jeszcze murawą jego mogiły mówimy dziś o stracie, bo o stracie dla wdzięcznych serc naszych, to, co literaturze polskiej i narodowi dać mógł, i dał Ujejski, tego nie było w stanie odebrać ani umniejszyć nic — nawet śmierć jego. Usunął się, jak posąg ręką mistrza do ostatnich rysów wyrzeźbiony, ucichł, jak melodja dograna do końca, odszedł jak rolnik, co ostatniej dokrajał skiby...

Charakterystyka tej potężnej postaci da się ująć krótko w trzech rysach: miłość Ojczyzny, nie znająca granic ani chwil odpływu, moc słowa, sprawiająca wrażenie, jakgdyby ktoś w struny nie palcami, lecz młotem uderzał, wreszcie forma tak doskonała, iż Ujejskiego wraz ze Słowackim i Asnykiem zalicza się do trójcy, która skończoność formy doprowadziła do granic, poza które niewiadomo czy się kto dalej posunie.

Nie mieliśmy chyba nikogo wśród naszych poetów, dla którego patrjotyzm nie istniałby jako motyw twórczy, ale nie mieliśmy drugiego, u któregoby jak u Ujeskiego tak niepodzielnie zapanował w najlepszych jego utworach. „Skargi Jeremiego“ to jeden hymn miłość Ojczyzny, pod osłonkami alegorji przewija się ten sam motyw w wielu z „Melodji biblijnych“, owiewa swem tchnieniem niemal wszystkie poematy odosobnione, a nawet w „Tłumaczeniach Szopena“ jakby się zdawało uciekających w dziedzinę absolutnego artyzmu, wybucha n. p. takiemi strofami z „Ostatniego boju“:

Nam bronią ożóg zgliszcz,
Pierś nasza nie zna tarcz!
Ty wichrem przy nas świszcz,
Piorunem przy nas warcz!

Ale szczytem natchnienia patrjotycznego u Ujejskiego, a kto wie, czy nie w naszej literaturze wogóle, jest „Chorał“ który opiewając, jak „wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń“, skupił w sobie wszystkie bole, wszystkie rozpacze narodowe, aby je stopić w końcu w hymn zwycięskiej nadziei, że przyjdzie, że

przyjść musi chwila, kiedy zatkniemy „sztandar zwycięski“, „na drgającem szatana ciele“.

Czem jest „Chorał“ dla Polski, na to niech odpowiedzą tysiące serc, które on nauczył dopiero kochać Ojczyznę. Gdyby znalazł się ktoś, coby nietylko niebył Polakiem, ale należał do ludzi, nie pojmujących co to miłość Ojczyzny, to jeszcze nawet takiego człowieka musiałaby wstrząsnąć do głębi siłą uczucia i mistrzowstwem ta prawdziwa polska „pieśń nad pieśniami“.

A o sile w poezji Ujeskiego cóż powiedzieć? Wiąże się ona ściśle z poprzedniem ich znamieniem: Niesłychanemu napięciu uczucia musiała odpowiadać niesłychana moc słowa, która go i w innych utworach nigdy nie opuszczała. Kiedy się przerzuca tomiki poezji Ujejskiego, zdaje się że z tych milczących kart podnosi się wielki, potężny a harmonijny krzyk, lecz aby mieć pełne pojęcie coza potęga uwięziona jest w każdym wierszu Ujejskiego, trzeba słyszeć było n. p. „Hagar na puszczy“, deklamowaną przez Modrzejewską mieć od trwogi krew w żyłach ściętą na końcowy okrzyk:

Przed głosem, przed moim czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody, och rosy,
Kropelki! kropelki choć dżdżu!

Pozostaje jeszcze wspomnieć trzecią cechę twórczości Ujejskiego: mistrzowstwo formy. Polega ono nietylko na dźwięczności końcówek, nietylko na rozmaitości i wyrazistości rytmów, ale na takim doborze słów wedle ich brzmienia, aby podnosiły nastrój treści, razem z nią łączyły się w nierozerwalną melodję. Dzięki temu tylko Ujejski mógł śmiało puścić się w swoich „Tłumaczeniach“ w zawrotne wiry muzyki szopenowskiej. Umie wtedy nawet być miękkim, n. p. w „W niebowzięciu“:

Leżę na obłoku,
Roztopiony w ciszę,
Łzę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę.
Fijołkowej woni,
Otacza mnie morze,
Dłoń złożywszy w dłoni,
Lecę, płynę gdzieś!...

A w jednem z najwspanialszych arcydzieł formy poetyckiej w „Marszu pogrzebowym“ czyż nie słychać najwyraźniej dzwonów pogrzebowych:

Tyle dzwonów! gdzie te dzwony? Czy w mej gło-
[wie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?...

Aby dokończyć naszkicowanego wizerunku Ujejskiego trzeba do tego, co było niejako „teorją“ w jego działalności, dołączyć, co nazwać wypadnie praktyką. I tu się tłumaczy owa niesłychana żywotność i popularność poezji jego. Bo on nie obracał się w abstrakcyjnych ogólnikach, które, choćby najpiękniej wygłoszone, rychło się przejeść muszą, wszystko co wypowiadał związane było z życiem, czuć było z jego pieśni, że chłonie w siebie gorące prądy społeczeństwa i nimi oddycha. Kochając więc Polskę, nie ograniczał się do martwego podziwiania jej przeszłości lecz kochał przedewszystkiem jej przeszłość. Republikanin, jak sam chętnie siebie nazywał, radykał, jak go inni zwali, jeden z pierwszych zwrócił się do ludu, jako jedynej narodowej przystani, do ludu, dla którego nawet wtedy miał serce otwarte, gdy z boleścią wołał: „Mnóstwo Kainów jest pośród nas!... Takim był w poezji i w życiu.

Był takim, kiedy poszedłszy do parlamentu razem z Hausnerem, Wolskim i Skrzyńskim wystąpił z Koła polskiego, uważając, iż „mylnem jest, że nasza solidarność budzi uszanowanie u Niemców. Czemże może być solidarność ludzi, niezwiązanych ze sobą ideą? kupą niewolniczą — nic więcej“...

Takim był we wszystkich swoich przemówieniach i odezwach, od najdawniejszych aż do ostatniego, do listu przysłanego na wiec chłopski w r. 1894, gdzie zgłaszał swoją solidarność z ruchem ludowym i radość, że się dokonało, czego dusza jego pragnęła.

Wszakże już dawno poeta sobie wymarzył, że

Znowu kiedyś w to miejsce, gdzie ja w grobie leżę
Lud pośród ciemnej nocy na wiecę się zbierze.
Po niebie rozpostarły się czarne chmurzyska,
Z oddali huk dochodzi głuchy, czas błyska,
W powietrzu cisza wielka, duszno — będzie burza!

To już się spełniło! — a kiedyś może i to drugie się spełni:

Nakoniec przyjdzie chwila... oh! czy ona bliska??
Cała armja wybiegnie tu na te pastwiska,
Tysiące kos zabłyśnie na tej sianożęci,
Policzą się ci drobni, wyprostują zgięci!
Będzie bój, jako żaden od wieków nie słynie.
Dla trupów miejsca braknie, bliski San krwią spłynie,
W gołębich dawniej piersiach wre wściekłość tygrysia,
Na ustach jedno hasło: Nigdy albo dzisia!...

I zwyciężą!...

W. D.

Eliza Orzeszkowa.

LIŚĆ USCHŁY.

I.

Tak mi to drobne zdarzenie utkwiło w pamięci, że aż muszę je państwu opowiedzić. Bardzo drobne, ale, że było w niem coś dla mnie niezrozumiałego, więc je zapamiętałem. Zresztą, możeście państwo zauważyli, że pamięć ludzka to takie dziwne sitko, przez którego oka ziarna duże wypadają niekiedy, a drobne nie wypadają. Jest w nich pewno jakaś waga, która je przytrzymuje na dnie, ale jaka? Nie wiem, to nie moja rzecz: nie wdawałem się nigdy w żadne filozofje, będąc człowiekiem trzeźwym, praktycznym, ze wszystkich słów pacierza, niegdyś za panią matką powtarzanego, najlepiej pamiętającym słowa: „chleba naszego powszedniego daj nam“ i t. d

Dlatego właśnie, że bardzo dbałem o chleb, wcale nie powszedni, lecz posmarowany masłem śmietankowem albo pasztetem strasburskim, dlatego, że wszelkich ideologów uważałem za półgłówków lub komedjantów, uczuwałem coś nakształt głębokiego szacunku dla Feliksa Garskiego, którego natura jakby umyślnie w tym celu stworzyła, aby był żyjącem przeciwstawieniem i protestem dla wszelkiej ideologji.

Poznałem się z nim w Wiedniu, dokąd rzucił mię nietyle los, ile własna moja zdolność dawania sobie rady na świecie. Po rozpoczęciu pracy samodzielnej, zarobkowej, próbowałem osiąść w kilku z koleji kątach, lecz w każdym było mi i ciasno i ciemno i zawiele pajęczyny. Ma się rozumieć, że żaden na świecie kąt, zwłaszcza w domu zrujnowanym, nie może obyć się bez pajęczyn, które oblepiają twarze i lezą do ust. Pfe! skosztowawszy pajęczego jadu, zachłysnąwszy się stęchłem powietrzem, nasłuchawszy się — ciszy, drapnąłem w świat, i jakie tam bogi nosiły mię po gościńcach, to nosiły: dość, że przyniosły do tej stolicy, za co im wdzięczen jestem, choć niebardzo, bo powiodło mi się tu, ale niezupełnie.

Z Garskim spotkaliśmy się po raz pierwszy w salonie, raczej w salonach pewnej znakomitej, wpływowej osobistości, i odrazu powiedziałem sobie o nim: „o! sprytna bestja!“ Jak to on potrafił przystosować się wybornie do środowiska bądź co bądź obcego, bo tak, jak i ja, pochodził z Litwy, z takiego sobie wiejskiego, szlacheckiego dworku, a tu stał się światowcem, więcej, bo dworakiem, więcej jeszcze, bo manekinem, którego mówienie, milczenie, zdanie, miny zależały od pokręcenia się sprężyny. Traf! zakręciła się sprężyna; manekin we fraku, białym krawacie i binoklach na nosie kłania się tak niziutko, że aż końcami palców w białych rękawiczkach prawie posadzki dotyka. Sprężyna znowu: traf! kłania się wyniośle, zadziera nos i lekceważąco idzie dalej. Znowu: traf! potwierdza z zapałem: tak! tak! o, tak! Jeszcze raz: traf! przeczy z oburzeniem: nie, nie, o! nie! Poloniusz we własnej osobie, tylko zręczniejszy. Żadnych przekonań, upodobań, sympatji własnych. Jak wasza ekscelencja, tak i ja! A ekscelencja na prawo, na lewo, przed nim, za nim, i stąd potrzeba krygowania się na wszystkie strony. Zdaje się: trudno! Staniesz przodem do jednej, to plecami zwrócisz się do drugiej; przysuniesz jednej stołeczek pod stópki, to druga się o niego potknąć może. On jednak tę sztukę posiadał znakomicie i jak eskimos ślizga się na lodzie między skałami, ślizgał się po posadzkach, między ekscelencjami tak, aby o żadną się nie rozbić.

Trzebaż trafu, że powierzchowność wybornie odpowiada sytuacji Bo od powierzchowności wiele zależy; niejeden wół duży i z tłustym karkiem chciałby może dokonywać krygów i z ruchami pełnymi gracji okrążać skały, albo nawet wsiadać na nie jak na konie, ale patrzących pobudzałoby to do śmiechu, a w pewnych sferach śmieszność, to śmierć.

Garski... ale możeście go państwo gdziekolwiek widzieli, bo przecież to teraz człowiek na świeczniku, wielka pozycja, tuz, personat! Nie? nie widzieliście go nigdy? Ano, niedawno jeszcze przebywacie w Wiedniu; więc opiszę, jak potrafię.

Garski tedy, w porze zapoznania się naszego, miał lat około 40-tu, wzrost średni, ruchy sprężyste, więcej żywe, niż powolne, lecz zawsza doskonale wytworne i zgrabne.

Wnosząc z twarzy, musiał być bardzo chudym, ale temu niedostatkowi mistrze wiedeńskiego krawiectwa zaradzali tak skutecznie, że w salonie i na ulicy posiadał kształty w sam raz takie, aby wydawać się kształtnym. Twarz jednak była otwarcie chudą, z rysami dość prawidłowymi, o co mniejsza, bo motywem głównym, na daleki plan rysy usuwającym, był w niej wyraz. Twarz ta musiała być rozpaczą dla fotografa, skarbnicą dla psychologa. Chuda, sucha, okrągła, odbijała od czarnych, kędzierzawych włosów żółtawą barwą skóry i dwiema plamami rumieńców na wklęsłych policzkach. Ponieważ policzki były wklęsłe, więc rumieńce miały pozór trochę niezdrowy, czoło też zaczynało już przypominać zmiętą kartę papieru, tyle je przerzynało wło-

skowato-cieniutkich zmarszczek; ale dojrzeć to było można zblizka, zdaleka zaś uderzała jedna tylko gruba fałda pomiędzy brwiami, rzucająca na czoło i na twarz całą wyraz myślicielstwa. Dość było spojrzeć na tę fałdę, aby pomimo woli pomyśleć: „rozumny człowiek“. Dość też było czasem popatrzeć na jego oczy z czarnemi, jak węgiel, źrenicami, bystre, ruchliwe, przenikliwe, niespokojne, aby powiedzieć sobie: „To chciwiec!“ A innym razem te same oczy, uważne, posłuszne, czyjeś słowa i zdania chłonące, jak balsamy, podszeptywały nazwę: „Pochlebca;“ albo słodkie, zachwycone, rozkochane kazały myśleć: „To liryk!“ A usta cienkie, delikatne, pod czarnym wąsikiem może ufarbowane, bo zawsze, jak koral czerwone, sposobem układania się warg i uśmiechami dyktowały wyrazy najrozmaitsze: filut, służalec, tkliwy kochanek, rozpustny łotrzyk, szyderski sceptyk, poważny statysta; dwu tylko wyrazów nigdy podyktować nie mogły: głupoty i szczerości.

Ogółem biorąc, była to powierzchowność człowieka nerwowego i sprytnego, interesująca bogactwem przebijających się z poza niej namiętności i energji: powierzchowność zawziętego łowcy, który bez spoczynku i po różnych drogach ścigał cel upatrzony, bo od doścignięcia go zależała możność życia w jedynej formie dla niego zrozumiałej, życia pojętego, jak wyrażał się sam Garski, w sposób modernistyczny.

Modernistą był on w każdym celu. Tylko najświeższe prądy naukowe i polityczne, najświeższe artystyczne i literackie szkoły, najświeższe mody w zwyczajach, ubraniu i t. d. Co było dobrem lub pięknem, choćby tylko przed rokiem, ale już z mody wyszło, — to rupiecie do umieszczenia w lamusie przodków! Posuwał się w modernizmie tak daleko, że gdy zapanowała moda noszenia męskich płaszczów krótkich i z czterema pelerynkami, przyodział się w płaszcz taki i kiedy zaczęto na ulicach z wielkim klekotem okręcać na palcach *cri-cri*, nosił na palcu *cri-cri* i okręcał je z wielkim klekotem.

Wszystko co modne, błyszczące, szykowne, co odznaczało, to jest wydzielało z tłumu, było dla niego prawie świętem, nadewszystko jednak, jak mi się zdaje, potrzebnem. Miał przecież w tem pewien takt i umiarkowanie, tak, że elegancję, którą tchnęła cała jego osoba, poczytywano za wzorową i przyjemną w kilku dość odrębnych sferach, bo wśród pań wielkiego świata i wśród pań półświata, wśród dziennikarzy, giełdziarzy, statystów i — gogów.

Czem się trudnił? Najważniejszym z jego zawodów było dziennikarstwo. Natura stworzyła go poliglotą. Pisał po niemiecku tak, jakby się był urodził Niemcem; posyłał też często artykuły treści politycznej i ekonomicznej do Paryża i Londynu. Ta wielojęzyczność oddawała mu znaczne przysługi, bo czyniła go rodzajem telefonu, przez który można było rozmawiać z Europą, otwierała przed nim progi tych, którzy takiego telefonu potrzebowali, często wysokie i nieprzystępne. Pióro miał cięte, gorzkie, maczane daleko mniej w wiedzy, niż w dowcipie, zaprawionym żółcią, a strzegące się sentymentalizmu, jak pewnej zguby. Kiedym po raz pierwszy spotkał go w Wiedniu, jeden ze wspólnych znajomych naszych oznajmił mi poufnie, że Garski *reflektuje* na stanowisko redaktora jednej z największych i najbardziej wpływowych gazet. Był to Galicjanin, który przybył do Wiednia także w celu *reflektowania* na różne dobre rzeczy... więc mówiąc o Garskim, ironicznie wykrzywiał usta Daremna ironja!

(C. d. n.)

Prasa poznańska.

(Ciąg dalszy)

Drugą ogólną cechę pism poznańskich stanowi to, iż wyłącznie są polityką wypełnione i to przeważnie naturalnie polityką lokalną. I te pisemka, które nizka cena każe do wydawnictw ludowych zaliczać, i te, które wysoką pobierając prenumeratę, tylko wśród warstw wyższych rozchodzić się mogą, poza wiadomościami politycznemi i rozprawami o kwestjach bieżących, nie dają czytelnikom żadnego innego umysłowego pokarmu. Każda ma wprawdzie jakąś powieść w feljetonie — albo nędzną albo przedrukowaną — gdyż na materjał literacki żadne z nich nakładów nie robi. Stało się to tak ogólnie przyjętym zwyczajem, że pewna redakcja, chcąc zapowiadany feljeton reklamować, zapewniała czytelników, iż będzie to powieść „dotąd nigdy jeszcze i nigdzie nie drukowana“. Zaznaczyć muszę jednak, że pismo, o którem mowa, stanowiło pewnego rodzaju wyjątek, gdyż przedrukowywało nawet samo siebie, t. j. drukowało niektóre rzeczy perjodycznie co kilka lat, licząc na to, że od pojawienia się ostatniej odbitki podrosło nowe pokolenie czytelników, które — rzecz starą z nowem przeczyta zajęciem. Wogóle pisma poznańskie co do strony literackiej nie liczą na wygórowane wymagania czytelników

i najczęściej nie mylą się. Zmysł krytyczny w tym kierunku jest bardzo mało rozwinięty, smak czytającej publiczności bardzo niewyrobiony, a z drugiej strony i prasa bynajmniej kształcąco na czytelników nie wpływa. Przeciwnie, jedno z drugiem zestawiając, zauważyć można, że częściej wśród ogółu zamanifestują się jakieś pod tym względem zdrowsze instynkta, a kierownicy opinji publicznej świadomie lub nieświadomie dążą do uśpienia ich lub wprowadzania na manowce.

To zresztą nie stanowi zbyt trudnego zadania, gdyż, jak mówiłam, ogół nie przywykł do samodzielnego myślenia i każdy prawie obawia się wypowiedzieć zdanie, któregoby przed lub potem nie powtórzyło kilka tuzinów ludzi. Zdarza się jednak widzieć na premjerach w teatrze, że publiczność oklaskuje dobrą sztukę, którą poźniej niemiłosiernie zjeżdżą recenzenci, lub odwrotnie wyśmiewa się z lichoty, która nazajutrz w pismach do godności arcydzieła podniesiona zostanie. Zdarzyło się też n. p. że tak p o w a ż n y organ, jak „Dziennik poznański“, rozpoczął druk długiej na kilka kilometrów, lecz zdumiewająco niemądrej powieści, — którą wskutek licznych protestów czytelników przerwać musiał w połowie. Wszystkie inne działy, nie do polityki się odnoszące, są również po macoszemu traktowane. Recenzje teatralne, sprawozdania z koncertów lub z wystawy sztuki najczęściej pod rubrykę humorystyki się kwalifikują, krytyki literackie pojawiają się niezmiernie rzadko i to tylko wtedy, gdy mogą mieć albo panegiryczny albo polemiczny charakter, artykułów popularno-naukowych prawie niema, wszelkie zaś próbki dowcipu poznańskiego w felietonach tygodniowych popełniane, wydają na świat tylko poronione płody. Najnowszym i najjaskrawszym tego dowodem jest „Teka Gwiazdona“, którą się co tydzień przyozdabia obecny „Dziennik poznański“.

Nie jestto dobrze, ale w tem wszystkiem nie ma nic dziwnego. W warunkach obecnych żaden literat z zawodu w Poznaniu utrzymać się ze swej pracy nie może, a połączenie talentu z miljonowym majątkiem, jak np. u p. Kościelskiego, jest wyjątkowem w świecie zjawiskiem. Literatura w Poznaniu nie może dać człowiekowi chleba nietylko dlatego, że pism jest mało, że popyt na literackie utwory nie wielki, lecz i z tej także przyczyny, że między istniejącemi dziennikami zawzięta bezwzględna, niemiłosierna toczy się walka i kto w jednym z nich drukuje swe utwory, tem samem zamyka sobie wstęp do wszystkich innych. Brak literatów z zawodu oddziaływa też ujemnie na panujące zwyczaje i wytwarza dla tych ludzi pióra, co się przypadkiem do nadwartańskiej zabłąkają stolicy, położenie nieznośne. Pisma miejscowe przywykłe do posługiwania się pracami amatorów i dyletantów, opłacają swych współpracowników chyba w drodze łaski i honorarja autorskie za rodzaj jałmużny uważają. Wyjątek stanowią tylko członkowie redakcji, spełniający codzienną dziennikarską robotę lub stali zamiejscowi korespondenci.

W umysłach ogółu wytwarza się też przekonanie, że ludzie piszący za pieniądze stanowią pewien rodzaj pasożytów społecznych. Słyszałam sama jak jeden z najuczeńszych księży poznańskich wygłaszał zdanie, iż literatura, od czasu gdy się stała źródłem zarobku, nie może mieć żadnej wartości, niepomny na to, że dla niego i sakramenta są źródłem zarobku, a nie zgodziłby się pewno przyznać, że to ich znaczenie obniża.

Takich i tym podobnych poglądów słyszy się w Poznaniu bardzo dużo i nikt im się nie dziwi. Pewna księgarnia nakładowa, obliczając koszta nowych wydawnictw, wyznaczała na honorarja autorskie sumę, nie dochodzącą jednej trzeciej ceny zużytego papieru, wychodząc z tej zasady, że jestto wydatek nadetatowy, gdyż przecie każdy właściciel przedsiębiorstwa książkę sam napisać umie. Nawet w kole inteligencji, grupującej się przy „Przeglądzie poznańskim“, poruszano kwestję skreślenia pozycji honorarjów, boć każdy z akcjonarjuszy raz na kilka tygodni artykuł lub powiastkę napisać może

Przytoczone przezemnie fakciki nie należą do wyjątkowych, lecz są typowe i świadczą chyba dostatecznia, że Poznań nie jest i nie może być rajem literatów.

W takich warunkach wszystko, co się wydaje, drukuje i rozpowszechnia w Poznaniu, musi mieć wyłącznie agitacyjny, polityczny charakter. Prócz wydawnictw pobożnych i książeczek dla ludu, przeważnie bardzo małą posiadających wartość — wychodzą tam z pod prasy tylko niekiedy broszury polityczne na czasie — a przedewszystkiem dzienniki, będące organami pewnych stronnictw, klas lub koterji.

Najstarszym, najpoważniejszym — w sferach kierujących, najbardziej rozpowszechnionym organem jest „Dziennik poznański“. Jestto organ inteligencji, a przedewszystkiem organ ziemiaństwa i wraz ze sferą, której interesom służył, różne przechodził koleje. Za młodu nosił barwę liberalną i toczył walkę z ultramontanami Ludziom naszego pokolenia trudno już dziś wierzyć, że długoletni kierownik tego pisma, śp. Dobrowolski, w chwili gdy swój zawód redaktorski rozpoczynał, uchodził za czerwonego radykała i był nim podobno nawet naprawdę. Wiek — a więcej jeszcze walka kulturna złagodziły tę jaskrawą barwę, która wciąż bladła, przechodziła w delikatnie różowy odcień, a w końcu zupełnie do białej podobną

się stała. Do ostatnich czasów jednak pismo to w teorji wyznawało kierunek umiarkowanie-liberalny, a w praktyce nie było prawie wcale liberalnem, tylko bardzo a bardzo umiarkowanem. To umiarkowanie było najwydatniejszą, najcharakterystyczniejszą cechą „Dziennika poznańskiego“ w ostatnich zwłaszcza latach redakcji p Dobrowolskiego. Czyniło ono ten pierwszorzędny organ poznański prawie zupełnie bezbarwnym choć z drugiej strony i to przyznać należy, że chroniło go od osobistych polemik, zjadliwych wycieczek i nieparlamentarnego tonu, w który tak często inne pisma poznańskie popadają. Nie znaczy to jeszcze, aby „Dziennik poznański“ w owych czasach miał się bardzo łaskawie i wspaniałomyślnie z przeciwnikami swymi obchodzić. Jego najsilniejszą, najskuteczniejszą i najniebezpieczniejszą bronią było milczenie, to też kierunek „Dziennika poznańskiego“ manifestował się głównie nie w tem, co na szpaltach jego napisanem, lecz w tem, co przemilczanem było. Nawet w najburzliwszych chwilach walk partyjnych, przełomów wewnętrznych, starć gwałtownych Dziennik tak panował nad swoim językiem, że przez 10 dni mógł ukrywać przed czytelnikami fakt jakiegoś zerwanego wiecu np.— co najwyżej krótką kronikarską poświęcając mu wzmiankę. To, co się redakcji nie podobało, nie istniało po prostu dla niej. Nie istniały dla niej zasługi ani tryumfy przeciwników, nie istniały przemówienia, odczyty, broszury, nawet wnioski uchwałą większości zatwierdzone — jeśli tylko autorami ich byli ludzie, niezaakceptowani przez dziennikową koterją. Dziennik poznański, choć zresztą szczerego patrjotyzmu odmówić mu nie było można, silnie podlegał wpływowi, czy naciskowi partji dworskiej, gdyż pozostawał pod kontrolą koła polskiego w Berlinie, z którem był przez swych akcjonarjuszów i p. redaktora, zasiadającego w komitecie wyborczym, ściśle związany. Jednym z głównych jego dogmatów była nieomylność wybrańców narodu, to też nigdy z opozycją się nie odzywał, a jeśli kiedy przedwcześnie wygłosił radę, której koła nasze w Berlinie nie uwzględniły, cofał się potulnie i do pomyłki przyznawał. Rozmaite wpływy, stosunki, interesa, grupujące się w koło dawnej redakcji Dziennika poznańskiego odbijały się w oryginalny sposób na różnych działach tego pisma, które ogółem biorąc bezbarwne, bynajmniej jednolitem nie było. I tak np. korespondencje z Warszawy bywały antiugodowe i czerwone, korespondencje z Paryża antiugodowe, lecz konserwatywne, lwowskie i krakowskie natomiast śnieżno białe, — arystokratyczno klerykalne.

Po śmierci Dobrowolskiego, nastał okres prowizoryczny z prowizorycznym naczelnym redaktorem (poseł Głębocki). W ciągu tej kilkumiesięcznej epoki przejściowej nie zaszły ważniejsze zmiany, a łatwo bardzo zrozumieć, że tymczasowy redaktor nie miał ani ochoty, ani upoważnienia do przeprowadzenia reform gruntowniejszych. Milcząca powaga „Dziennika Pozn.“ utrzymywała się też i nadal, pojawiały się jednak drobne symptomaty, dowodzące, że jakiś nowy prąd w redakcji nurtuje.

(Ciąg dalszy nast). *I. Moszczeńska.*

Z ZAPADŁYCH KĄTÓW.

NOTATKI WAKACYJNE.

(Ciąg dalszy).

W dwóch bocznych nawach, nakrytych kopułkami, mieszczą się sarkofagi Sieniawskich. Jest ich ogółem dziewięć, a wszystkie z wyjątkiem dwu, do których użyto alabastru, wykute z czerwonego marmuru, wszystkie doprowadzone są do dość dobrego stanu, wszystkie wskazują, że wykonało je nie byle jakie, ale mistrzowskie dłuto Ogromne postacie, podparte na łokciach, z buławami w dłoniach, w twarzach mają uderzające, rodowe podobieństwo. Oblicza pełne, brody śpiczaste, szerokie czoła znamionują odwagę, zaciśnięte usta — dumę, zaciętość i — skąpstwo, wąskie oczy — chytrość. Co z tych przymiotów potomkom ich zostało? ..

Zamek brzeżański, jak wszystkie odwieczne mury ma do siebie przywiązane rozmaite legendy, podania, baśnie. Jedną z nich zanotowałem przy charakterystyce Stanisława Potockiego, tu podaję dwie inne, jakie mi się udało pochwycić podczas parodniowego pobytu w Brzeżanach.

Nad bramą kaplicy, wysoko w trójkącie, widnieje napis szczero złotemi literami żydowskiemi „Jehowa“ ostatniej litery brak, tak jak gdyby ktoś wyłamał lub odciął. Owoż żydzi brzeżańscy opowiadają sobie, że do ułożenia i umieszczenia tego napisu wzięto żyda złotnika. Kiedy napis był już na ukończeniu i jednej tylko litery brakowało, spotkała go nagle kara za profanowanie imienia Jehowy przed innowiercami: spadł z drabiny i zabił się! W rzeczywistości dzieje tej niedostającej litery są podobnoś inne. Pewien żołnierz, dobry strzelec, dowiedziawszy się, że litery są złote, odstrzelić ją miał z karabinu.

Opowiadają też, że kiedy przy odnowianiu kaplicy poczęto kopać około fundamentów, natrafiono na jakieś ogromne drzwi, wzmocnione łańcuchami, na jakieś kowane skrzynie podobnoś Stanisław Potocki, człowiek zabobonny, miał to niby zaraz kazać zasypać Zdaniem zaś ludu mieścił się za owemi drzwiami olbrzymi skarb Sieniawskich, który wolno będzie ruszyć tylko wtedy, jeśli rodzina właścicieli Brzeżan znajdzie się w wielkiej potrzebie.

Szkoda, wielka szkoda, że zamek brzeżański nie znalazł swego historjografa, a przynajmniej kogoś, coby mury jego poznał i opisał. Kilkukartkowej broszurki dr. Maciszewskiego za coś podobnego uważać nie można, jest to bowiem dość pobieżna i dość bezkrytyczna notatka raczej, aniżeli rozprawa naukowa.

Z melancholicznym smutkiem, który groby rodzą, odchodzi przybysz, zwiedzający Brzeżany, z zamku. I błękit czystych wód Złotej Lipy wydaje mu się mniej wesołym i szuwary jej jakoś smutnie dzwonią, aż wreszcze oko, jak koń po stepie, wybiega swobodnie i daleko po ogromnej powierzchni stawu brzeżańskiego.

Ten staw, olbrzym wodny, który się pod miastem położył, to najpiękniejsze, co mają Brzeżany. Staw grodecki może większy nieco jest co do obszaru, ale nie dorównuje brzeżańskiemu ani położeniem, ani głębię, ani czystością niezarosłych brzegów, ani majestycznością. Kiedy cicho, wody jego mają odcień prześliczny zielonawy, kiedy od strony Szybalina, wioski po przeciwnej stronie położonej, dmie wiatr, staw staje się ponuro ołowiany, marszczy się gniewnie i pędząc półmetrowe, albo i większe fale, które jak morskie u szczytu zaginają się w uwieńczony białą pianą grzebień, przypuszcza szturm do potężnej grobli, chroniącej miasto przed jego zalewem. Strach pomyśleć coby było, gdyby tak pewnej nocy woda groblę przerwała i rozlała się na doły!... Dawniej na grobli ustawiony był słupek, którego szczyt był na równej wysokości z poziomem wody w stawie. Otóż przyłożywszy oko do krawędzi tego słupka trafiało się spojrzeniem w... wieżę ratuszową!

Kiedy liście drzew opadną, kiedy rankami mróz ściska, każdy rodowity brzeżanin staje się niespokojny, zaczyna gmerać między żelastwem i wyszukuje porzucone z wiosną łyżwy. A skoro tylko na stawie jaki taki lód stanie, już nie utrzyma go nikt i pędzi na ślizgawkę. Tak bywa od najmniejszych dzieci, stąd Brzeżany na wszystkie strony kraju rozsyłają najdzielniejszych łyżwiarzy. Lada studencina, który wyrwał gdzieś odwieczne „kopytkowe“ łyżwy, biegnie z niemi na staw. I kiedy wieje wiatr ku Szybalinowi, włożywszy łyżwy, staje na lodzie, rozpina surducinę na wiatr, niby żagle okrętowe i sunie po śliskiej powierzchni coraz dalej, coraz szybciej aż dech w piersiach zapiera, aż z pod łyżew lecą lodowe wióry. Jeśli przelatuje przez pas chropowatego lodu, w miejscu, gdzie przez szczelinę wystąpiła kiedyś woda, dzwoni zębami jak sygnaturka na pożar, jeśli upadnie conajmniej przez kilkanaście metrów odbywa dalej podróż — brzuchem. Aż wreszcie ani się obejrzy, jak przed nim Szybalin i jedyny w tem miejscu kawałek zarośli trzcinowych. Czasem się zdarzy, że takiemu malcowi coś się w łyżwach popsuje, że zmarzłemi rękami spadłych „kopytek“ przymocować nie może, noc go zaskoczy i wraca piechotą po stawie do domu. Wtedy, gdy powierzchnia lodu opustoszeje, gdy przy wzmagającym się mrozie powietrze ucichnie, a w górze wyiskrzą się gwiazdy, staw zaczyna swoją rozmowę. Najprzód słychać jakieś dziwne bulkotanie potem syk, jak gdyby ktoś jedwab rozdzierał, potem huk, jak wystrzał z pistoletu i trzask pękającego lodu. Na małym podróżniku skóra cierpnie, włosy dębem mu stają, ale próżny strach! lód co najmniej ma łokieć grubości, a owe odgłosy, to właśnie dowody jego siły, znaki, że grubość jego rośnie!

Jeszcze bardziej, niż łyżwiarstwo w zimie jest rozpowszechniony w Brzeżanach inny sport: pływanie. I nie dziw, nic to nie kosztuje, nawet takiego wydatku, jak na łyżwy nie wymaga. Wystarcza rozebrać się i buchnąć w wodę To też brzeżaniak, osiadłszy tam od kilku pokoleń, drogą dziedziczności dochodzi chyba do tego, że już w kołysce wykonuje pływackie „tempa“. W Brzeżanach trudno znaleść kogoś, coby nie umiał pływać, a umiejętności ogólnej nadaje pewne normy pływalnia wojskowa, znajdująca się na stawie. Brzeżaniak dopiero wtedy na serjo o sobie mówi, że umie dobrze pływać, jeśli przepłynie staw w szerz, a dodajmy. że jestto niemal dwa kilometry. Zdarzają się jednak przykłady o wiele większej pływackiej wytrwałości i to nawet pomiędzy płcią piękną. N. p. panna K., córka radcy sądowego, znakomita pływaczka, wyszedłszy raz rano się kąpać, wpadła na myśl, że dobrzeby było powiedzieć dzień dobry pewnej znajomej, mieszkającej po drugiej stronie stawu. Puściła się więc wpław, w kostjumie pływackim, wyszła na brzeg przeciwny, uskuteczniła swój zamiar i tą samą drogą powróciła, przepływając w ten sposób całe pół mili. Największej jednakże chyba sztuki na tem polu dokonuje brzeżański lekarz wojskowy, który przepływa staw wzdłuż i z powrotem, czyli robi wpław całą milę.

Gdyby coś podobnego, jak staw brzeżański było pod Lwowem! Roiłby się od pływających, od łódek i łodzi, nawet parowce chodziłyby po nim, jak po morzu. W Brzeżanach jednak dziwnym zbiegiem okoliczności wio-

ślarstwo jest zupełnie zaniedbane, nie istnieje żadne towarzystwo wioślarskie, mimo, że dość jest inteligencji, któraby je zawiązać mogła. A może w tem gra rolę niechęć właściciela, któryby niechciał aby mu ryby płoszono?

Woda ze stawu odpływa dwiema szluzami; tworząc owe dwa ramiona rzeki, której obejmują zamek dokoła. Przy jednej szluzie znajduje się młyn i tartak, druga, środkowa szumi zupełnie bezczynnie. A doskonale możnaby siłę jej zużytkować w jakichś celach przemysłowych, albo do urządzenia elektrycznego oświetlenia. Podobnoś nawet Siemens i Halske ze względu na to właśnie, że w Brzeżanach tak łatwo o motor wodny, i że jest on tak blisko, ofiarował się założyć w mieście oświetlenie elektryczne za śmiesznie małą cenę. Ale brzeżańska reprezentacja miejska jak posłyszała słowo „elektryczność“ która widocznie dla niej równoznaczną jest z piorunem, tak się przeraziła, że nawet gadać z referentem nie chciała.

Cieszą się więc ludziska w Brzeżanach oświetleniem jeszcze zabawniejszem niż w ko medji „Die Kleinstädter“ Kotzebuego. Bo tam, jedyna lampa w miasteczku, nieświeciła się tylko wtedy, jak w kalendarzu pełnia przypadała, co zresztą praktykuje się nawet w takim Lwowie, w Brzeżanach zaś mizernych kilka lamp, które prowadzą tu i ówdzie suchotniczy żywot, nieświeci się nawet na nowiu! Argumentacja ojców miasta bywa przytem rzeczywiście piramidalna. Kiedy raz zapytano burmistrza dlaczego w dzielnicy, zwanej „miasteczkiem“ lampy są, ale się nigdy nie świecą, odpowiedział ze spokojem: „Bo tam się ich nigdy nie zapalało i nie zapala!“

Takich synów już nie małomiasteczkowości, ale wprost zaściankowości dałoby się w Brzeżanach więcej nazbierać, co się tłumaczy tem, że to taki kąt zapadły. Są jednakże objawy charakteryzujące tę miejscowość we wprost przeciwnym kierunku.

(C. d. n.)

Z przemówień Kornela Ujejskiego.

Naród, który nie śmie powiedzieć sobie nagiej prawdy i swoje błędy nosi w ukryciu, idzie w śmierć!

* * *

Wolę widzieć mój naród jeszcze w dłuższym ucisku, niż gdyby miał zdobywać pozorną swobodę przez zaparcie się swojej godności.

* * *

Nie ten jest niewolnikiem, kto dźwiga kajdany, ale ten, kto schlebia i łasi się swoim nieprzyjaciołom.

* * *

Ci, co zasłaniają się tym absurdem, że serwilizm może być środkiem do osiągnięcia wolności, kłamią! Oni gną się, bo mają lokajstwo w duszach; oni gną się, bo na wosk roztopiony zmiękła im kość pacierzowa.

* * *

Lepsza podniesiona i grożąca pięść wroga, niżeli jego uśmiech.

* * *

Upadliśmy przez naszą własną winę i podnieść się możemy tylko przez naszą własną zasługę.

* * *

Pomnijmy, żeśmy w niewoli! pomnijmy, żeśmy narodem bez ojczyzny! Nie mamy jej! A co pomimo tylu ofiar dotąd jej nam nie wróciło? Bezmyślna senność miljonów, nieobudzonych do narodowego życia i wrodzone nam lenistwo lub samolubne zadowolenie większej części czuwających. Ostatni winni są za senność pierwszych.

* * *

Głód moralny pożera, niszczy wnętrzności kraju, a swobody leżą martwe, nieużyte po naszych autonomicznych śpichlerzach.

* * *

Są dwie potęgi, dwa prawa, dwa bodźce, bez których Polska nie byłaby Polską, bez których zaparłaby się swojej misji dziejowej. One są: natchnienie i poświęcenie!

* * *

Naród tem być powinien, czem był w dawnem pojęciu król: wyrazem najwyższej władzy.

Z drukarni Z. Golloba.